MARYA BOGUSŁAWSKA

NA WYDANIU

MONOLOGI Z TRAGIKOMEDYI ŻYCIA KOBIETY



Niechaj przy twym ogniu mą pieczeń upiekę,
Bo masz wdzięk, rozum, no..., i hipotekę!

NAKŁADEM I DRUKIEM ZYGMUNTA JELENIA W TARNOWIE

27S802

2

NA WYDANIU

Kiedy w skwarny dzień słon
Ogrzewa zagony,
Wówczas rybki w jeziorze
Podnoszą ogony.........

I ja gdy w Ciebie patrzę,
Jak w złocistą zorzę,
Zdaje mi się o Pani
Żem rybką w jeziorze.



Marya Bogusławska

DRUK ZYGMUNTA JELENIA W TARNOWIE.

MARYA BOGUSŁAWSKA

NA WYDANIU

MONOLOGI
Z TRAGI-KOMEDYI ŻYCIA KOBIETY

TARNÓW 1913
NAKŁADEM I DRUKIEM ZYGMUNTA JELENIA

I.

MOI KONKURENCI

ZWIERZENIA STAREJ PANNY

Tym wszystkim, którzy tak mocno gorąco i wiernie mnie kochali, póki się z innymi nie pożenili

poświęca

AUTORKA

„Że ty zostałaś właśnie starą panną,
Dziwne"...
Tę piosnkę słyszę nieustanną.
Dziwią się ludzie...

(z przekonaniem)

No i ja się dziwię!

(z westchnieniem)

Lecz się kochałam zawsze nieszczęśliwie!
Bo na nieczułość skarżyć się nie mogę!
Niejeden chłopiec już... wchodził mi w drogę,
Niejeden widział we mnie różne cnoty.
Niejeden mówił, że mam humor złoty,
A nawet mieli takie dziwne gusta,
Że też chwalili moje grube usta,
Choć, prawdę rzekłszy, powiadał mi jeden,
Że...

(znacząco)

nie oczami ocenił ten Eden!

(Pauza. Zbiera myśli)

Mój pierwszy luby, Wacek miał na imię.
W letnim paltocie chodził nawet w zimie,

Ubogi student. Wraz z drugim kolegą
Wziął od nas pokój.
Czyż matki ustrzegą
Od znajomości z takim lokatorem,
Co się odznacza werwą i humorem?...
Pan Wacław śpiewał, gwizdał, deklamował
Ludzi, zwierzęta, ptaki naśladował,
A ja, podlotek, słuchałam wesoła.
Ot, czarodziejem wydawał się zgoła!
Kiedy zeszliśmy się raz pierwszy w sieni,
Ja piekę raka i on się rumieni.
Wzruszeni bardzo staliśmy wprost siebie.
Wzrokiem rzekł: „kocham"...

(przekonywająco)

Rzekł to, jak Bóg w niebie!...
Czułam, że stać się coś wielkiego musi,
Serce mi bije, w gardle tętno dusi,
Wszystkie z „trylogii" romantyczne sceny:
Oleńki, Basie, Krzysie i Heleny,
Cisnęły mi się do mózgu natłokiem,
A on, stał przy mnie i palił mnie wzrokiem.
Drżałam z wzruszenia i z strachu potrosze.
Wtem, on się schylił i... podał kalosze,
Po które drżąca wyciągałam nogę,
Podczas gdy oczu oderwać nie mogę.

Tak się nasz romans zaczął... bardzo skromnie;
On na szmer każdy czuwał wciąż przytomnie
I ile razy z domu się wynoszę,
Już w przedpokoju

(rozanielona)

podaje kalosze;...
Pomnieć je będę całe moje życie...

(z rozmarzeniem)

Fijoletowe było w nich podbicie!
Jaką miał przytem tryumfalną minę!
Potem podawał także pelerynę!
Raz, gdy się haftka jakoś zaplątała,
W jego ramionach chwilem pozostała.
Serca nam biły wzajem z niepokoju,
Między paltami, w mrocznym przedpokoju.
Wtem on wyszeptał, gdym w ekstazie była:

(zająkliwie)

„To się o wa...rkocz haf...tka zaczepiła"...
Odczepiał haftkę, ruchy miał niezgrabne,
Wtem szepnął znowu: „Włoski jak jedwabne...
Ah, cóżem zrobił!... haftka się urwała!...

(niskim ponurym głosem)

Może by pani ją podarowała?...

(jeszcze bardziej nastrojowo)

Niech ją położę na me serce dumne
I niechaj kiedyś pójdzie ze mną w trumnę."

. . . .

Odtąd już często szeptaliśmy mile,
Ale nas w sieni płoszono co chwilę;
Tyle mieszkało u nas różnych osób...
Toż znaleźliśmy sobie inny sposób:
Drzwi od pokoju Wacława do mego
Były zamknięte od czasu dawnego
Szafą wysoką, ale ponad którą
Szeroka szpara. Tą więc tedy dziurą,
Gdy już uzyskał na to moją wolę,
Rozmawiał Wacek, stanąwszy na stole
W swoim pokoju; drzwi zlekka popychał
I patrzał na mnie i szeptał i wzdychał.
A ja, na krześle, z głową podniesioną

(wesoło)

Że kurze ścieram, udawałam pono,
Gdy kto pod oknem przeszedł na podwórzu...
(Odtąd mam pasyę do ścierania kurzu).

. . . .

Raz w karnawale było wielkie święto:
Tańczące pączki; wszystko wyprzątnięto,
Z mego pokoju buduar zrobiono,
Więc łóżko, szafę i stół wyniesiono.

Siedzimy właśnie, młodych całe koło,
Flirtujem, gwarzym, bawim się wesoło,
Wtem mój pan Wacław, co nie uprzedzony,
Że w mym pokoju porządek zmieniony,
Chciał snać popatrzeć przez drogi utarte,
Popchnął drzwi zlekka, a te, niepodparte,
Nagle się z trzaskiem wielkim otworzyły,
A on z impetem, z góry... Boże miły!
Upadł z okrzykiem na środek pokoju,
A był...

(ze zgrozą)

nieledwie w adamowym stroju!..
Snać, że się z łóżka dźwignął utęskniony.
Trudno opisać ten popłoch szalony,
Krzyki zgorszenia, oburzenia, trwogi!...

(dramatycznie)

Ja widzę dotąd te... w powietrzu nogi,
Tę głowę w dole, coś na kształt straszydła
I tę...

(waha się zaambarasowana, jak to nazwać)

bieliznę, jak gołębie skrzydła....

(Pauza)

I nie widziałam go już odtąd więcej,
Z naszego domu wyniósł się czemprędzej.
Tak barokowo przeto się skończyła

Pierwsza sielanka, naiwna i miła,
Lecz obraz jego wciąż w mej duszy noszę;
Widzę go zawsze... gdy wkładam kalosze!

*

Kiedy zostałam już panną dorosłą,
To na małżeństwo prędko się zaniosło,
Ojciec chciał zaraz wydać córkę z domu
I mówił o tem otwarcie, bez sromu,
Twierdząc, że teraz panny takie mądre,
Że gdy nie pójdzie, która póki głupia,
To później tylko daremnie się droży.
Ale był jednak jakiś palec Boży,
Który mnie ustrzegł... To znowu tak było:
Ciotki mnie wszystkie swatały aż miło
Z panem Wincentym... obywatel z Litwy...

(ze śmiechem)

Strasznie podobno nienawidził brzytwy,
Wody i mydła!... Ale był bogaty,
Zdrowy i krzepki, choć podeszły w laty,
O mnie więc mówił przeto, żem

(naśladując litewski akcent)

„błaźnica“,
Ale i taką jednak się zachwyca.
Pytał mnie tylko, czy ja gospodyni.
Czy umiem robić konfitury z dyni,

Kisiel z żurawin i „pampuszki“ z sera!...
Brała mnie nieraz do śmiechu chęć szczera,
Lecz mnie wstrzymywał ojca wzrok surowy.
Aż skoro przyszło wkońcu do umowy,
Gdy już bogaty z brylantów pierścionek
Złożył mi w darze przyszły pan małżonek,
Prosił uprzejmie, abym z rodzicami
Na obiad litewski przybyła czasami,
Poznać zawczasu właściwą mu kuchnię,
Którą tak cenił...

(ze śmiechem)

Nie to głowa puchnie,
Gdy dziś, po latach to „menu“ wspominam.
Że prawdę mówię, słowem się zaklinam:
Najprzód kołduny, a chłodnik na drugie,
Na trzecie prosię, ot na łokieć długie,
Na koniec lody!... Słowo, nie blaguję.
A sądząc jeszcze, że niedosyć truje,
Albo, że może grozi gościom głodem,
Podał nakoniec też... ogórki z miodem!...
Mama pytała, czy tak zawsze będzie.
Czy moje zdrowie będzie miał na względzie,
Żem delikatna... A on rzekł te słowa:

(z litewskim akcentem)

„Taż pani moja będzie całkiem zdrowa,
Bo my leczymy, ot, słowo honoru,

Dając pić słabym odwar muchomoru..."
Mama nie chciała dla mnie takiej próby,
I poszedł z kwitkiem pan Wincenty luby.
Lecz w krótkim czasie jest konkurent nowy:
Pan Marcin Brózda, lekarz okręgowy,
Wdowiec od roku.
— Pan ma dwoje dzieci?
— Ah, gdzież tam, pani!... Stasia, ma rok trzeci,
Śliczna dziecina, ale słabowita,
Pewnie robaki, bo ząbkami zgrzyta,
Płacze po nocy i spać nam nie daje,
Trzeba ją nosić, bo aż serce taje
Tak płacze rzewnie. Potem dwa bliźniaki:
Jasiek i Stasiek, rozkoszne chłopaki,
Jako bliźnięta po pięć latek każdy;
Łobuzy, prawda, to z pod ciemnej gwiazdy,
Ale nie takie jak Zygmuś i Franek,
Starsi od bliźniąt; dla tych rozbić dzbanek
O plecy bony, to igraszka mała!...
Żadna by przy nich toć nie wytrzymała,
Przeto też muszę, muszę się ożenić.
Wszystko w mem życiu potrzeba odmienić,
Bo i Marynia, córeczka najstarsza,
Psuje się tylko, charakter pogarsza!
Przyznam się szczerze, ot tak, między nami,

(w sekrecie)

Że się po kątach całuje z chłopcami.

(wesoło i z przekonaniem)

Zobaczy pani, żyć będziem szczęśliwie!
Przy dobrej kuchni zaraz się odżywię,
W pani mieć będę żonę, gospodynię;
Weźmie mi w karby żoneczka Marynię,
Będzie z chłopcami lekcye odrabiała,
Będzie po nocy nad Stasią czuwała,
Zmieni mężusia charakter zbyt płochy

(z zachwytem)

I będzie wszystkim cerować pończochy!...
O, bo w tym względzie nadążyć niesposób,

(z przekonaniem)

A trudno przecież trzymać kilka osób!
Ogromny budżet, gdy się tyle żywi...
Zobaczy pani, jak będziem szczęśliwi!

. . . .

No i na tego skusić się nie dałam;
Stale od wdowców odtąd uciekałam.

*

To znów Witolda poznałam na balu,
Był intendentem w miejscowym szpitalu.
Dobry z kościami, ale słabowity!
Wiecznie w kuracyi, w flanele spowity,
A lekarstwami dlatego się truje,
Że, jak powiadał, nic go nie kosztuje.

Mając za sobą tak poważną racyę,
Pragnął koniecznie przejść też operacyę.
Wciąż kontrolował, czy go co nie boli,
Oddychał ciężko i stąpał powoli,
Aż raz przybieżał w jak najlepszym sztosie,

(ze śmiechem)

Bo znaleziono mu polipa w nosie!
Odczuwał przeto miłą alteracyę,
Że przecie przejdzie darmo operacyę.
Gdy nadszedł dzień już na to przeznaczony,
Myślę, nie przyjdzie do mnie narzeczony
Przynajmniej tydzień. Ale gdzież tam, Boże!
Zaraz nazajutrz w południowej porze
Przyszedł jak zwykle; spoglądam z ukosa,
A on...

(ze zgrozą)

zatkane ma dziurki od nosa
Kłaczkami waty!...

(Pauza, patrzy porozumiewająco na publiczność, trzęsąc głową)

O wy, młode panie,
Czy wy to odczuć choć jesteście w stanie,
Jeśliście były kiedy zakochane,
Czem narzeczony, który ma zatkane
Dziurki od nosa!... A mimo to kapie
Krew mu chwilami i okrutnie sapie.

(mówiąc przez nos)

„Widzisz, że miłość moja nieobłudną,
Gdy mi bez ciebie dzień wyżyć jest trudno."

(potrząsa głową)

Oj wy panowie, uwierzcie mi przecie,
Macie się leczyć, to leczcie w sekrecie!

*

Ostatni chłopiec sprawił w sercu zamęt:
Był adwokatem i miał temperament!
Prawił jak trybun, Cycero prawdziwy,
Dziwnie zarazem namiętny i tkliwy.
Mówił, że będę mu do grobu miła,
A w głosie jego taka szczerość była!
A jak całował!...
Opisać nie w stanie
I szeptał wówczas:

(namiętnym szeptem)

„O ty, ty, szatanie,
Świat bym porzucił za twój całus jeden."

(objaśniająco a tajemniczo)

Bo to on odkrył domniemany Eden!

Słodko mijały miesiące, kwartały,
Wkońcu upłynął już i roczek cały.
Ojciec się gniewa, mama mi urąga,
Że się mecenas z małżeństwem ociąga.
Że widać miłość jego nieprawdziwa!...
Ja nie nagliłam!...

(z westchnieniem)

Byłam tak szczęśliwa!...
Raz z kiku wizyt powracam spóźniona,
Widzę, że w sieni zarzutka zwieszona
Mojego pana. Pewno on w ogrodzie
Czeka stęskniony w wirydarza chłodzie!...
Idę na palcach zajść go niespodzianie,
Wtem szept tam słyszę: „o ty! ty! szatanie!"
Uchylam bluszczy, chcąc pochwycić słówko,
A tam

(z najwyższą grozą)

mecenas z moją pokojówką!...
W te same słowa i tym samym tonem
W tym wirydarzu, co był jakby tronem
Naszej miłości, tam on w tymże czasie!...
O mecenasie!!!...

(długa pauza)

Czy się dziwicie, żem panną została,
Choć miałam serce wcale nie jak skała.

(z westchnieniem)

To trzeba było okropnego pechu!...
Ja mówię seryo, tutaj nie ma śmiechu!...
I powiem państwu jeszcze coś, w sekrecie;
Dziwne tajniki są w każdej kobiecie;
Chociaż me serce zawodem zszarpane,
Przecie nie dałam jeszcze za wygrane.
Bo myślę sobie: mój Boże kochany,
Chyba nie wszyscy mężczyźni gałgany!
I oto właśnie przychodzi myśl nowa,
Aby pojechać jeszcze do Krakowa.
Stary gród taki, tyle w nim pamiątek,
Czczony tam wiernie każdy stary kątek.
Poszanowanie najstarszej dzielnicy,
Starożytności wszędzie miłośnicy!...
Gdy więc antyków modna właśnie pora,

(z uciechą)

Może ja także znajdę amatora,
Co mnie czcić będzie, ach, jak kocham mamę,
Jakby Barbaban lub Floryańską bramę!
Kartkę umieści, lub szepnie do ucha:
„Proszę nie ruszać, bo... krucha!!!

II.

PIERWSZE SAM-NA-SAM

MONOLOG DLA MŁODYCH PANIEN

Panu X. Y. z wyrazami najwyższej wdzięczności za to, że nie ożenił się ze mną.

AUTORKA

W szarą godzinę siedziałam dziś z mamą,
A chwile dziwnie, strasznie się dłużyły,
Pierwszy raz w życiu pragnęłam być samą,
Bo wkrótce nadejść miał mój Staszek miły,
Mój narzeczony!... Co za wyraz cudny!...
Od „na“ zaczęty, jakgdyby z prostotą
Ktoś siebie dawał szczery, nieułudny,
Szedł w czyjeś ręce pohopnie, z ochotą.

(z czułością)

Mój narzeczony!...

(żywo)

O wy go nie znacie!...
Mądry, dowcipny, wesoły, uroczy!...
Wąsik jak jedwab!... a oko!...
Dwa oczy...
Jedno, jak drugie, szelmy bałamutne
Tak pieszczotliwe jak wiosny podmuchy,
Chociaż bywają czasem i okrutne...
Raz, gdy się gniewał, doszły go posłuchy,
Że mnie rodzice chcą oddać Kaziowi,
Gdyż jest bogatszy!... Ah, a cóż mnie z tego!...
Mnie na majątek nikt a nikt nie złowi,

Bo kocham tylko Stasieńka mojego.
Prawda, rodzice Kazia przekładali,
Do Staszka nawet mieli uprzedzenie.
Ojciec mi mówił w niedzielę, nie dalej,
Że... elastyczne ma Staszek sumienie,
Że...

(wstrząsa się ze zgrozą)

Straszne rzeczy, co ojciec powiadał!...
Ażem płakała potem wieczór cały.
Ale Staś później ojcu naprzekładał,
No, i skończyły się wszystkie kawały.
Z ojca perorą, z maminemi łzami
Włożył mi Stasio pierścień brylantowy,
Ale, że mama wciąż siedziała z nami,
Dłużył się przeto nam zaręczynowy
Wieczór straszliwie. Dopiero dziś wreszcie,
Gdy Staś nadjechał, poczciwa mateczka
Rzekła z uśmiechem: „No cieszcie się, cieszcie,
Ja po sprawunki jadę do miasteczka."

. . . .

Byliśmy sami. Dziwaczne uczucie
Zdjęło mnie zrazu. Staś zażenowany
Siedział przez chwilę, jak żak na pokucie,
Szarpiąc nerwowo swój wąsik słomiany.
Potem się schylił i do mojej ręki,
Która na sofie spoczęła niedbale
Przylgnął ustami...

(wstrząsa się nerwowo)

Ah, kto nie zna męki
Tej sytuacyi, to nie zna jej wcale!
Bo to się z człekiem coś dziwnego dzieje:
Mrówki po ciele, pulsowanie w skroni.
Trochę się płacze i trochę się śmieje,
Trochę się broni, a trochę się kłoni!
A on, ustami, jak żmijka prawdziwa
Pełzał po ręku wciąż wyżej i wyżej...
Taka to moda teraz nieszczęśliwa
Krótkich rękawków!... Gdyby sięgał niżej,
Za łokieć, rękaw, byłby się zmiarkował...
Tak zaś, przez ramię, tu, tu i tu jeszcze

(wskazuje po ręku od dłoni do łokcia)

Muskał wąsami, pieścił i całował.
A mnie rozkoszne przechodziły dreszcze!
Już był przy łokciu... Jakaż dalsza sprawa?...
Przecież tak złego gustu nie posiada,
Aby całować materyał rękawa,
Sztywny kanaus!... Ah, byłaby rada:
Przeskoczyć jedwab i sięgnąć gdzieś wyżej,
A że przy bluzce nie ma kołnierzyka!...
Ledwie przez głowę przemknął pomysł chyży,
Staś, jakby odgadł i usta pomyka
Prosto ku szyi!... Na szczęście w tej chwili
Mars wpadł do sali z ogromnym hałasem.

(z dąsem)

Że też dotychczas psów nie nauczyli
Nie wbiegać nagle, lub zapukać czasem!...
Odskoczyliśmy od siebie na chwilę.
Ale Staś jakoś nie stracił otuchy;
Przykląkł przedemną, serdecznie się chyli,
Ujmuje kibić pieszczonemi ruchy,
Wyciąga wargi z namiętnym wyrazem,
Oczy się żarzą, a pobladł jak chusta,
Rozkazujący i błagalny razem,
Szepcze: „Daj usta, Lili, daj mi usta!“
Na pół przytomna kłonię się z okrzykiem...
Wtem Mars przyskoczył do swojego pana,
Po twarzy, ustach zamachnął językiem!...
Staszek „won!“ krzyknął, porwał się z kolana
I jął z wściekłością psa wypędzać z sali!
A mnie paroksyzm porwał na to śmiechu.
Staszek powrócił... chwileśmy się śmiali,
Lecz straciliśmy już rozmach...

(zaambarasowana)

do grzechu.

Więc Staszek wówczas, śmiejąc się nerwowo,
Wyjął zapałki i papierośnicę,
Przez długą chwilę trząsł ze śmiechem głową
Potem, miłośnie patrząc w moje lice,
Rzekł: „Moja pani, pani ma jedyna!
Tyś życia mego rozkoszą, ozdobą.

Błogosławioną niech będzie godzina,
W której raz pierwszy zeszliśmy się z sobą.
Przed nami droga twarda, ciężka, długa,
Lecz ja ją tobie ułatwię, upiększę.
Jam jest przy tobie twój podnóżek, sługa!
Na siebie trudy i kłopoty większe
Wezmę ochotnie, byś ty królowała
Bez trosk i zgryzot, w złote sny spowita.
Ty w mojem sercu będziesz wciąż czytała,
Aby myśl żadna nie była ci skryta.
Ale nawzajem, Liluś, powiedz szczerze,
Czy jestem pierwszym, co w twem sercu gości?
Czy nie dawałaś już komu w ofierze
Serca twojego anielskiej czystości?
Czy oczy twoje, tak jasne i czyste
Tajnych pożądań mgła nie zasłaniała?
Czy usta twoje namiętne i krwiste
Są tylko moje? Czyś kiedy nie dała
Komu całusa?... Lili, ja chcę wiedzieć,
Bo te usteczka moje, tylko moje!“...
Nie mogłam zaraz na to odpowiedzieć,
Bo... Gdybyż można włożyć jaką zbroję,
Coby kobietę czyniła hartowną
Przeciw pokusie, gdy tak z za wąsika
Usta się złożą z prośbą niewymowną,
Sącząc ekstazę jak nektar lubczyka!...

(Pauza)

Dziwnie to wspomnieć... rozkosznie i miło...
Ale to trwało bardzo krótką chwilę,
Tak mi się zdaje...
Potem trzeba było
Mą spowiedź zacząć...
Już się nie wysilę,
By ją powtarzać; dość, żem się przyznała
Do wszystkich grzechów, począwszy od tego
Jak w drugiej klasie takem pokochała
Księdza prefekta, że niemal do niego
Modlitwy słałam... Jak raz od sutanny
Zgubił guziczek, a jam go chowała
W mojej szufladce jak skarb ukochany,
Póki go Ziutka tajnie nie porwała,
Bo była jeszcze mocniej zakochana...
Potem mówiłam o Dyziu — kuzynie,
Co raz przedemną upadł na kolana,
Mówiąc o szale, kobiecie i winie!...
Jam wówczas tak się tego wystraszyła,
Żem odskoczyła, jak rzucona z procy,
Boć chwila bardzo niewłaściwą była:
W alei parku, późno, prawie w nocy!...
On wówczas stracił nagle równowagę
I nosem zarył żwir alei ostry!...
O proszę nie brać mi tego za blagę!
Bo winszowały potem moje siostry,
Że już mężczyzna dla mnie krew przelewał,
Choć z nosa tylko...

Potem znów mówiłam,
Jak pan Bolesław serenadę śpiewał
Pod mojem oknem, a ja mu rzuciłam
Dwa róży pączki...

(z żalem)

Staś wnet się rozgniewał,
Mówiąc, że to już było nadto trochę...
I powtórzyłam rozmowy, żarciki
I wszystkie słowa nierozważne, płoche,
Pełne nietaktu pomysły, wybryki...

(z zadowoleniem)

Ale mnie Staszek z wszystkiego rozgrzeszył,
A nawet... może by mnie uradować...
Dziękując czule, gorąco się cieszył,
Że się nie dałam przynajmniej całować...
Potem nawzajem ja go zapytałam
O jego grzechy...
Przeciągnął ramiona...
Ja się na niego zdziwiona patrzałam,
Bo twarz się stała jakgdyby zamglona...
Pomilczał chwilę, a potem rzekł cicho:
— Nic ciekawego, życie moje w znoju
Na wsi płynęło i szaro i licho;
Dziś pragnę tylko ciszy i spokoju."
— Miał go pan dosyć, gdy na wsi wciąż siedział...

(żywo)

A czy pan kochał?...

(z niepokojem)

Bo może ja jestem
Nie pierwsza w sercu?...
Staś nie odpowiedział,
Tylko zaprzeczył oburzonym gestem.
A ja szeptałam zupełnie już szczerze,
Że ojciec mówił o jakiejś kobiecie,
Która w Warszawie...

(z przekonaniem)

Ja temu nie wierzę!
Lecz ojciec mówił i przysięgał przecie,
Że pan trzy lata ciągle jeździł do niej,
Że te podróże wiele kosztowały,
Że pan tam w mieście... Ah, niech Pan Bóg broni,
Co ojciec mówił raz przez wieczór cały!...
A przecież, gdyby pan już kochał kogo,
Nie byłby dotąd jeszcze kawalerem,

(z przekonaniem)

Żadna kobieta nie będzie tak srogą,
By nie odpłacać panu sercem szczerem!
To też ja jestem pogodna, wesoła,
Bo w tem podobne jakieś awantury...

Miłostki płoche... nie wierzę nic zgoła!
— Dzięki ci za to, no i proszę z góry,
Abyś, ktokolwiek mógłby opowiadać
Podobne plotki, nie słuchała wcale!
Najlepiej nie dać ludziom o tem gadać,
Bo wynikają z tego próżne żale."

(Pauza)

No i na razie rzekł mi tylko tyle,
A mnie odpowiedź ta nie wystarczyła,
Przechodzą dziwne powątpiewań chwile...

(tłomacząc)

Bo jeślim ja już tyle nagrzeszyła,
Czy sposób, aby on był tak niewinny,
Skoro mężczyźnie nawet wolno więcej?...
Ale on przerwał: „Zatem już powinny
Rachunek zdałem, a teraz czemprędzej
Spojrzyjmy w przyszłość; bo ja chciałbym, Lili,
Abyśmy jedne mieli ideały,
Jako duch jeden we dwóch ciałach byli.
Byśmy starczyli sobie za świat cały
Ty, ja i miłość! Przedstawię ci zatem
Przyszły tryb życia?... Na wsi, w naszym dworze
Żyć cicho, w pracy i zimą i latem.
Ja sadzić będę buraki, siać zboże,
Lili hodować drób na wielką skalę...
To świetnie płaci, zwłaszcza „orpingtony".

A że sąsiedztwa nie posiadam wcale
To nie będziemy się na wszystkie strony
Rozpierzchać, ale pracować dla siebie.
Więc cicho, słodko, zawsze z sobą razem
Będziem żyć, Liluś, jak anioły w niebie!...
Cieszysz się ze mną tym cudnym obrazem?"
Ja się do niego wówczas przygarnęłam,
Prawiąc mu cicho, obszernie i długo,
Że ten plan jego cały w duszę wzięłam,
Że pragnę mu być przyjacielem, sługą,
Że jego chęci będą też mojemi,
Jego marzenia niebem mojem własnem,
Że stąpać będę po ciernistej ziemi
Śmiało, odważnie, dzielnie, z okiem jasnem.
Że razem będziem dla ludu pracować;
Zimą dzieciny uczyć wieczorami,
Chłopów oświecać, pocieszać, kurować
I tak traktować, by zżyli się z nami
Jako rodzina"...
Wtem Staszek się garnie,
Wargami musnął zlekka moje czoło,
Spojrzał mi w oczy przekornie, figlarnie,
Podkręcił wąsa i odrzekł wesoło:
„Panienka moja mocno postępowa!
Pozostał widać wpływ panny Kaźmiery,
Tej socyalistki!... Zapalona głowa
Na uczenicy wywarła wpływ szczery.
Ale to ziarno pewnie powierzchownie

Rzucone w duszę prędko się wypleni!"
I w pół ująwszy, zaczął mi wymownie
Prawić: jak myśmy dla siebie stworzeni,
Jak słodko żyć jest jedno dla drugiego,
Jednem pragnieniem i dążeniem silni
I że na świecie nie ma nic gorszego,
Jak kiedy ludzie słabi i omylni,
Zwłaszcza kobiety, rwą się do społecznej
Pracy nad siły;... nie przygotowane
Padają na tej drodze niebezpiecznej,
Drażniąc jedynie tę społeczną ranę.
A ja mu rzekłam.
— Wiem, że umiem mało,
Ale mnie nęci wiedzy skarb świetlany...
Rodzice dbali więcej o me ciało,
Niż o mój umysł, a ty, ukochany,
Rozjaśnisz myśl mą i podniesiesz ducha!
Ja pragnę wiedzy, czynu, poświęcenia!"...
Urywam, bo Staś mój niecierpliwie słucha,
I rzecze nagle głosem rozdrażnienia:
— Mąż, gospodarstwo, a w przyszłości dzieci,
To dość zupełnie, by wypełnić życie.
I tak aż nadto prędko czas przeleci,
Zwłaszcza przezornej, oszczędnej kobiecie,
Co o przyszłości myśli zabiegliwie,
Kocha nie fikcye, nie jakieś poloty.
Nie wizye, mrzonki, co śmieszne prawdziwie,
Lecz męża, jego sprawy i pieszczoty"...

Chciałam gorąco temu protestować,
Ale nie mogłam...

(zaambarasowana)

On zaczął całować...
I przez tę chwilę słodką, niepowszedną
Zdało się, że my stanowimy jedno,
A teraz...

(z westchnieniem)

niech mi Pan Bóg to wybaczy,
Ale mnie znowu zdaje się inaczej.

III.

NARZECZONY A MAŁŻONEK

REFLEKSYE ŻONY

Memu tyranowi!

Kiedy był jeszcze moim narzeczonym,
A przeto stałym gościem w naszym domu,
Tematem rozmów jego ulubionym,
Byłam ja wiecznie; toż nigdy nikomu
Nie dał spokoju, póki nie wyśpiewał
Hymnu na temat rzekomej mądrości,
Dobroci, dowcipu, które przyodziewał
W formę przesadną do niemożliwości.
Gdy raz, na wiosnę, słyszał narzeczony,
Jak powiadałam do mego kuzyna,
Że sadzę floksy, dalie, anemony
I kaprifolium miast dzikiego wina,
Wydął policzki z zachwytu, jak dynie,
Woła promienny: „A toż co nowego!
Marychna umie nawet po łacinie.
Już też ci tylko brakowało tego!"
To znów w rozmowie kiedyś przy kolacyi,
Robiąc życiowe jakieś porównanie,
Rzekłam do niego, nie wiem z jakiej racyi,
Dla pensyonarki chyba dobre zdanie,
Że gąsienica w motyla się zmienia,
Skoczył z radości, jakby źrebię młode,
I rzekł szczerego tonem uwielbienia:
„Jak ta Marychna dobrze zna przyrodę!

Kiedy czas miałaś tyle kłaść do główki?"
A ja się w duchu serdecznie uśmiałam,
Bo gdy chodziłam jeszcze do freblówki,
To już się wtedy tego dowiedziałam...
Raz, w towarzystwie, kiedy o rodzinie
Toczy się mowa, ja rzekłam nieśmiało,
Że żona winna oddać się jedynie
Mężowi, dzieciom... tak ducha jak ciało
Poświęcić temu, na co przed ołtarzem
Przysięgę składa, to jej obowiązek.
Iść ręka w rękę z swym wybranym razem,
Na to wstępuje się w małżeński związek!
Mój narzeczony, z dumnym błyskiem oka,
Wnet po obecnych patrzy w zachwyceniu.
„Co to za prawda!... co za myśl głęboka!
I skąd ta mądrość w tak młodem stworzeniu!"
Teraz, gdy z książką siedzę trochę dłużej,
Idę na odczyt, wiec, albo zebranie,
Zaraz się krzywi, wzdycha, gderze, chmurzy,
A nawet scenę urządzić jest wstanie.
A czasem znowu żarciki jowialne
Pod mym adresem sypie, jak z rękawa,
Zwłaszcza, gdy powiem zdanie niebanalne,
Albo gdy z ogniem bronię kobiet prawa.
„Nie zapominaj, że jesteś mężatką,
Mówi mi zaraz na pozór z humorem,
To stara panna może być sensatką,
Lub sufrażystka niech walczy z honorem

Ogniem i wodą. Żonie ciche czyny
Przystoją tylko i ciche zasługi,
A zostawiając studentkom doktryny,
Niech zamiast siebie, lepiej uczy sługi"...

*

I jedną jeszcze zaznaczę odmianę:
Dawniej przepadał za memi żartami;
Wszystkie dla niego były pożądane,
Choć na wsze strony jak osy żądłami
Cięłam językiem, nie patrząc na skutki.
Toć i on nieraz nie wychodził cało,
Brał żarty moje, jak proszki na smutki
I wnet powtarzał, gdzie się komu dało.
Ilekroć przybył z swą pogodną miną,
Mówiłam zaraz, że jaśniej w pokoju,
Gdy przy ukłonie zabłysnął łysiną.
Śmiałam się także z wykwintnego stroju,
Z jego zwyczaju chwalenia się greką.
Robiłam żarty nieraz nielitosne.
Raz w złośliwości poszłam tak daleko,
Że kiedy snułam projekty na wiosnę,
A on odradzał mi planować dalej,
Bo mąż ma prawo decyzyi za żonę;
Porównał przytem panienkę do fali,
Którą niewiedzieć kiedy w jaką stronę,
Na lotne piaski, czy na dzikie skały,
Mogą wyrzucić żywioły wzburzone.

Ja wówczas na to: Mylisz się, mój mały,
Rzekłam, spojrzawszy na niego znacząco.
Daleko lepsze będzie zestawienie
Panny do wzięcia z muszlą, gdzieś leżącą
Na brzegu morza, której przeznaczenie
Uległość losom, bo próżno się sili
Oprzeć warunkom, gdy ją bałwan jaki
Unieść jak swoją może każdej chwili!
On się śmiał z tego!... Że go bolą flaki,
Mówił na ucho do brata mojego,
A mnie z zachwytem po rękach całował,
Do łez wzruszony, a niewiedzieć czego,
Rad ze mnie, z siebie konceptu winszował.
Mówił do ludzi: „Dobra i miluchna,
Jak dzwonek srebrny cały dzień mi brzęczy
Taka rozkoszna, tako to szelmuchna.
Toż ją z dniem każdym kocham coraz więcej!"
Czasem zła byłam!... Nie lubię przesady,
Ogień, gdy nagły zwykle prędzej mija.
Tak się też stało; kiedy czas żenady
Minął po ślubie, nieraz była chryja
Z powodu mojej wielkiej złośliwości,
Której odjęto już dowcipu miano,
A była nieraz z tych niezgody kości...
Tak więc pamiętam, gdy raz pierwszy rano
Nie wizytowo mężulka ujrzałam...
Więc do szparagu i to w białym sosie,
Dusząc się z śmiechu pana porównałam

I zaraz za to dostałam po nosie!
„Nie lubię duszko, gdy jesteś złośliwa,
Wyrabiasz sobie wrogów na wsze strony,
Ten ostry język to plaga prawdziwa,
Szczególniej przykra w ustach mojej żony."
Myślisz, że tylko w tem swój pogląd zmienił
Helas!... we wszystkiem, mówiąc między nami.
Tak więc, na przykład, kiedyś wielce cenił,
Że się zajmuję chętnie ochronkami.
Mówił, że wielbi we mnie przywiązanie
Do biednych dzieci, że kochać sieroty
To szczyt uczucia... Na ten temat wstanie
Był opowiadać różne anegdoty.
Raz, przypadkowo, miałam go za światka,
Kiedy się wybrał po mnie do ochronki,
Jak mnie obdarta opadła gromadka,
A ja, dobywszy karmelki z kieszonki,
Wśród żartów, śmiechów między nie dzieliłam,
Mając, jak zwykle, stąd uciechy wiele.
To też się nagle nawet przestraszyłam,
Gdy on stanąwszy, wyszeptał: „Aniele!
Tak bym cię pragnął w mej duszy na zawsze
Szczęśliw zachować; ty masz humor złoty
I serce takież... Nieba najłaskawsze,
Że oczom moim dają te pieszczoty!"...
A zaś przedwczoraj zobaczył niechcący,
Gdy po obiedzie siedział na balkonie,
Jak mnie zaczepił chłopczyna żebrzący,

Gdy wychodziłam na spacer, na Błonie.
Zatem ująwszy za rękę chłopczyka
I pogłaskawszy biedactwo pod brodę,
Poszłam mu bułek kupić do sklepika,
No i cukierków przytem na osłodę.
Choć powróciłam w dwie godziny blisko,
Mój mąż wciąż czekał na mnie z wielką burą:
Że robię z siebie jakieś widowisko,
Że chłopak z tyłu świecił wielką dziurą...
Ktoś się obrócił... Że jestem dziwaczka,
Że ściągam na się publiczną uwagę...
A że przypadkiem była przytem praczka,
A mąż tu zlekka potrącił o blagę
I żem niesłusznie burę tę dostała...
Boć, czy do gniewu była jaka racya?
Więcem w kąciku sobie zapłakała,
A on mi na to rzucił: Egzaltacya!...
Czemuż przed ślubem, jeszcze w zeszłym roku,
Będąc w teatrze na jakiejś premierze,
Kiedy łzę ujrzał, błyszczącą w mem oku,
Zwał to czułością i zda się, że szczerze!
Ta sama kolej z wymowy łatwością,
Ta „elokwencya“ „dowcip niezrównany“.
Zwą się gadulstwem, plotkarstwem, cietością!...
Zmienił poglądy mężulek kochany!

*

A jeszcze jedno, całkiem już komiczne:
Mój narzeczony, w stroju swym staranny,

Posiadał zawsze jakieś względy liczne,
Które stosował w obecności panny.
Raz tydzień cały leżał przeziębiony,
Więc zatęskniwszy serdecznie do niego,
Poszłam z mym bratem... Bukiet ułożony
Mą własną ręką, z róż i bzu białego,
Niosłam w prezencie, przytem się ubrałam
Jak najstaranniej; tok i kostyum nowy,
A dwie godziny blisko się czesałam,
Wciąż niedość rada z fryzowania głowy.
Aż gdy orzekłam, że jestem cacana,
Myślę, jak miłe przepędzimy chwile
Przy łóżku mego kochanego pana.
Gdzie tam!... napróżno przekonać się silę,
Szląc brata mego jak ambasadora,
Że mnie ta jego niekompletność stroju
Wcale nie zgorszy; że gdybym ja chora
Leżała w łóżku, to bym w mym pokoju
Jego przyjęła... Już nawet przebojem
Wejść zamyślałam, próżno — z ręki brata
Odebrał kwiaty, a mnie z pięknym strojem
Z kwitkiem oddalił — dla braku krawata!...
Raz na wycieczce, w taki upał przecie
Że pot nas wszystkich opływał obficie,
On, nalegany, nie chciał za nic w świecie
Zdjąć kołnierzyka... bo... nieprzyzwoicie
Wobec kobiety!... Dziś!... o Boże złoty!...
Choć nie straciłam nic z mej kobiecości...

Szelki... guziki... perkale... trykoty...
Jakby nie wiedział o mej obecności!...

*

Dawniej, gdy tylko czemkolwiek częstuję,
Lub gdy podnoszę nad złem daniem lament,
Kiedy się martwię, że mu nie smakuje,
Mówi: „z twych rączek piłbym i atrament.“
Teraz, raz po raz coś mu przydymione,
Coś szkaradnego... wprost nie do jedzenia,
To przypalone, to niedopieczone...
Grymasi, stęka, dyspozycye zmienia!
A już najgorzej, gdy idzie do łóżka,
Wtedy prawdziwie na urząd grymasi:
Ziółeczka, kleik, na miękko jajuszka.
Za ból żołądka na żonę się kwasi!...
Gdy kompres kładę wcale się nie wstydzi,
Że go żoneczka... bez krawata... widzi!

*

I jeszcze jedno powiem na ostatek:
Dawniej był dla mnie z wielką galanteryą.
Jeżeli czasem upuściłam kwiatek,
Chusteczkę, wachlarz... gniewał się na seryo,
Kiedy się przy nim ośmieliłam schylić.
I gdy podnosił z miną zachwyconą
Wcale nie zdawał się zanadto silić...

Dziś, gdy od roku jestem jego żoną
Co wieczór woła: „ Mój aniele drogi,
Klęknij przedemną i zbandażuj nogi!“...

*

Reasumując wszystko, com mówiła,
Taką konkluzyę bym tu uczyniła:
Że narzeczeństwo — jak majowy ranek,
Że narzeczony — sceniczny kochanek,
Co wszystko wielbi, wszystkiem się zachwyca.
Małżeństwo — kleik, bandaż i szlafmyca!
A przecież... dziwne... czy dusza kobiety
Tak z słodkiem jarzmem zrosła się, niestety,
Że już przekłada szczerość i prostotę,
Gdy się z tem wiążą pewne chwile złote,
Że i ja wolę — mówię to na seryo,
Niż narzeczeństwo z całą galanteryą.
Choć każda żona trochę męża sługą,
Wolę to... bo... Et, mówić by zadługo!...

IV.

MATKA

Paniom A. B. C. D. E. F. G. H. i całemu
alfabetowi im podobnych!

Wśród różnych pojęć na tym Bożym świecie
Cudowniejszego pewnie nie znajdziecie
Nad macierzyństwo! Ten cud odrodzenia!
Łańcuch wieczności, owoc upojenia!
Dziecię!... Cegiełka, co tworzy mur
Tajni istnienia!... Mój własny twór!

*

Całkiem malutka, zaledwie rok trzeci
Liczyłam może, już pragnęłam dzieci;
To też namiętnie kochałam me lalki!
Z najmniejszej szmatki, materyi, woalki
Szyłam sukienki i przeróżne stroje,
By w nie odziewać te dzieciny moje.
A miałam tego zawsze całe stosy!
Myłam, kąpałam, obcierałam nosy;
To jedno niańczę, jakby małe dziecko,
Drugie przewijam, lub karmię flaszeczką.
W domu, w ogrodzie, w łóżeczku, przy stole
Wciąż się wprawiałam w czułej matki rolę.
A gdy na pensyą wyjechać musiałam,
Trzy dni się łzami w kątach zalewałam,
Co wytryskały z ciężkiej serca rany,
Że mam zostawić ten mój świat kochany.
I rozmyślałam, płacząc sobie cicho:

— Pensya!... Nauka!... Nadało to licho!
Kuć całe lata!... Powiedzcie, gdy wiecie,
Na co jest wiedza przeciętnej kobiecie?.!..
Nie trzeba pensyi ni uniwersytetu,
By iść za mąż, mieć dzieci... Alfabetu
Nie zna poczciwa nasza kowalowa,
Obcym językiem nie mówi ni słowa,
Verb'ów nie pisze, czasów nie odmienia,
Nie zna dzielenia, ani też mnożenia
I z dodawaniem nawet jej niesporo.
A przecież dzieci ma... nawet ośmioro.
A wtem dwa razy prześliczne bliźnięta!
Słowo wam daję... prawda, prawda święta.
A że ja za dzieci oddałabym duszę,
Przeto też prędko za mąż pójść już muszę.
Kto ma na matkę święte powołanie,
Ten byle czego nauczyć się niewstanie!...

*

Wszak zgadujecie chyba, że kulawo
Szła mi nauka... bo wszak miałam prawo,
By ją traktować cokolwiek przez nogę;
Myslą w mym domu, ciągłą czułam trwogę,
Że wpośród jakiej psa z kotami walki,
Może się czasem potłukły me lalki.
W szóstej już klasie czułość moją całą
Przeniosłam na jedną dziewczyneczkę małą,
Najmłodszą z pensyi, aż z podwstępnej klasy;
Miała też ona przecudowne czasy

Pośród licznego starszych panien grona,
Wciąż obdarzana, pieszczona, karmiona.
(Tak zabiegając około dziewczątka:
Sprowadziłyśmy jej katar żołądka...)
Kiedy ją brałam z czułością na łono
Wzdychałam, nieraz łzę łykałam słoną.
(Boć łza jest słoną, rzecz wiadoma przecie),
Żałując, że to nie jest moje dziecię.
Wtedy szeptałam: — O mój dobry Boże,
Kiedy egzamin mój nareszcie złożę,
By raz przeklętą otrzymać maturę,
Wtedy z radością głowę wzniosę w górę,
Bardzo uważnie rozejrzę po świecie,
Szukając męża, aby mieć już dziecię
I to czemprędzej, bo ja nie chcę zgoła
Marnować czasu!... Czuję, coś mnie woła,
Abym spełniła to święte zadanie!...
Bo ja na matkę czuję powołanie,
Którego tłumić ani myślę w sobie!...
To palec Boży!... I najlepiej zrobię,
Gdy nie chcąc zostać tylko losu sługą,
Sama poszukam, nie czekając długo!

*

Jakoż mi jedna przyjaciółka szczera
Przybyła w pomoc; wnet mi kawalera
Znalazłszy, który właśnie szukał żony,
A z przyjaciółką tą był spokrewniony,

Więc w ten swój zamiar Wandę wtajemniczył.
Stefan dwadzieścia wiosen ledwie liczył,
(Ja zaczynałam wówczas osiemnasty),
Lecz choć tak młody miał już wąs sumiasty,
Przytem postawę dobrą na Goliata.
Ja wyglądałam jeszcze jak smarkata;
Krótka sukienka, warkocz po kolana...
Była z nas, była para zakochana!
Z niecierpliwością czekałam tej chwili,
Byśmy się wreszcie z sobą połączyli,
By się przerobić wkońcu na mężatkę.
Choć ciocia Józia, co to zawsze łatkę
Przypnie każdemu, rzekła raz krytycznie,
Że Stefan pisze nieortograficznie.
O wielki Boże, co mnie to obchodzi!
Jesteśmy zdrowi, zakochani, młodzi,
Ja gramatyki tak jak on nie lubię,
Nie o tem będziem myśleli po ślubie!...
Ciotka Kamilla, co zna się na rzeczy,
To jest na mężach, temu nikt nie przeczy,
Bo przecie własnych już trzech pochowała,
Rzekła rozsądnie: „Wierz mi moja mała,
Nie grymaś czasem i idź za Stefana,
Mąż idealny: twarz jak malowana,
Chłopak jak świeca... jak on pewnie kroczy...
Muskuły jędrne i prześliczne oczy
A że tam mózgu nazbyt nie natęża...
Że trochę głupi... to w sam raz na męża!

Słysząc od ciotki tak rozumne zdanie,
Dłużej namyślać się nie byłam wstanie
I nigdym tego nie pożałowała,
Bom w mym Stefanie w sam raz męża miała,
Moje marzenia wypełnił on skoro:
W sześć lat mieliśmy dziateczek sześcioro!
Snać pobraliśmy się w szczęśliwej chwili.
Nieraz sąsiedzi nasi się dziwili,
Widząc w nas jakby jakieś białe kruki!
Jakby do tego trzeba jakiej sztuki!
Toć to potrafią nawet dzikie ludy,
Zwłaszcza też na wsi, gdzie są takie nudy.

*

Co rok to prorok!... Co rok przybysz nowy!
Pulchniutkie ciałko i buziak różowy...
Okres rozkoszny, okres luby, złoty;
Czar, rozmarzenie, mężowskie pieszczoty,
Jego radości, wdzięczność, upojenie...
Ciągłe kuracye, leżenie, karmienie...
Lekkie szlafroki, jedwabne matinki,
Mamy wzruszenia, ojca miłe drwinki,
Gdy nowe wnucze mu zapowiadamy;
Lekarz, apteka, milutkie madam'y,
Co jak nikt w świecie mówią komplementy,
I ten majestat macierzyństwa święty!
Cud tak powszedni a jednak — jedyny!..
Z ucztą, szampanem rok po roku chrzciny,

Przy moim łóżku codzień świeże kwiatki.
Zazdrośnie patrzą bezdzietne mężatki,
Niejedna nawet powie coś złośliwie...
Zwyczajna zawiść... wcale się nie dziwię.
Zwłaszcza Dyzmowa, ta... ta... z pod Ołyki...
Równała z nami zwyczajne króliki...
Ja na to tylko wzruszałam ramiony,
Widząc zawiści dowód utajony;
Bo ma jednego (choć taka bogata)
Syna z dwóch małżeństw... *(pogardliwie)* i to literata!

(z dumą)

A ja co roku!... Te same radości...
Okres przypuszczeń... potem okres mdłości...
A gdy zapłacze wreszcie twór malusi,
Nic mnie na świecie nie ciągnie, nie kusi,
Już do niczego nie mam żadnej chętki,
Tylko całować te różowe piętki,
Tłuściutki karczek, lub w kolankach dołki!...
Jadładym żywcem te drogie aniołki!

*

Ale to rośnie... z niem rosną kłopoty!
Mniej już pożąda maminej pieszczoty,
Wnet się rozkrzyczy, lub zaleje łzami,
Że je całując ugryzę czasami!...
Każdy czułości swej wyrazu szuka!...
Najgorsze, gdy się zaczęła nauka,

Gdy wśród nas weszło pedagogii ciało!...
Każde z mych dzieci nad książką płakało,
Ja zaś, kochając dzieci me bez miary,
Psułam jak mogłam głupi zwyczaj stary
Męczenia biednej dziatwy naukami:
Gdy tylko które zasłabło czasami
Na lekki katar, najmniejszy ból brzuszka,
Wnet pakowałam na trzy dni do łóżka!
Gdy trochę bladło, zaraz zgadłam racye
I przedewszystkiem robiłam wakacye!
— Mało umieją!... ktoś złośliwy powie!...
(z radosnem przekonaniem)
Ale przynajmniej mają za to zdrowie!

*

O mym najstarszym mówi mój mąż zawsze,
Że nadto zdrowy!...
(z pobożnem westchnieniem)
Nieba najłaskawsze,
Że mu kompleksyę dały okazową;
Gdy stanie we drzwiach, ramy sięga głową.
Ma też za ojcem barki i muskuły
Dobry, kochany, aż zanadto czuły
Pieścić się umie z minką iście kocią;
Zawsze się trafi do niego dobrocią
I tem co ładne; gust miał niezrównany
Zawsze, od dziecka, mój Romek kochany.
Gdyśmy zgodzili raz nieładną bonę,
To awantury wyprawiał szalone:

Kopał ją, drapał, pluł jej prosto w oczy,
Mówiąc, że wiedźma i że go uroczy!
Gdyśmy zgodzili zaś ładniutką Zéli,
To się kochali, jakby dwaj anieli,
Bo ta francuska, wesoła i ładna,
Bawiła chłopca jak dotychczas żadna.
Wielbiła ją też dziatwa moja cała;
Przeto lat dziesięć u nas zostawała,
A z Romkiem byli przyjaźni obrazem,
Wciąż w foot-ball grali, nawet spali razem.
On miał subtelność jak u dziecka rzadko,

(uśmiechając się)

Wyczuwał nawet, że ma skórę gładką,
I zapach jakiś ostry, a drażniący.
O, Roman całkiem był obiecujący!...

(z oburzeniem)

Cóż kiedy podła jedna mężacicha
Z szóstej go klasy uwiozła do licha.
Włóczyła z sobą po całej Rivierze,
A on naiwny pisał o tem szczerze...

(zgorszona)

Naopowiadał potem faktów ładnych!...
O, bo tajemnic nie miał nigdy żadnych,
A gdy go ojciec w listach swych strofuje,
To on mu na to: „Wszak to nie kosztuje

Ni centa tatę, a ja tu zaznałem,
Co to być w niebie i duszą i ciałem,
W Nervi, w Nicei przy słodkim aniele,
A podróżując uczę się też wiele".

(z przekonaniem)

Trudno zaprzeczyć, że w tem sens się mieści
Szkoda, że anioł lat przeszło czterdzieści
Liczył już sobie. I że mój mąż biedny
Nie mógł się pozbyć z głowy myśli jednej,
Żem ja Romeczka trochę nadto psuła.
Co na to zrobić, żem jest matka czuła!
Przeto drugiego, rozkosznego chłopca
Od lat już siedmiu chowa ręka obca,
A raczej ciotka, co mieszka w Warszawie
I ma też syna w jednym wieku prawie.
I ja co dla nich zapomniałam świata,
Widuję Kazia raz na dwa, trzy lata! ..
Właśnie przyjechał, bo już skończył szkoły...
Ale się zmienił; dawniej był wesoły,
A teraz całkiem inny, jakiś dziwny;
Między swoimi ponury i sztywny,
Zawsze ma dla nas ironiczną minę,
A raz rzekł nawet:

(ze zgorszeniem)

„Gwiżdżę na rodzinę!
Mdłości mi sprawia — (dalej z złością gada,)
Ta familijna, stęchła marmolada!"

Lecz gdy do niego przyjdzie młodych grono,
A każdy brudny, z czupryną zwichrzoną,
To aż wre gwarem w tem naszem zaciszu:
„Ah, towarzyszko!... Miły towarzyszu!"
Trudno opisać jaka to hołota
Pieszo i końmi wtacza się w te wrota!
Jeden przychodzi nieledwie że bosy!...
W serwety, w laufry, wycierają nosy!
Dziurę zrobili w środku otomany!
W zbłoconych butach wchodzą na dywany!
Całkiem zniszczyli w salonie posadzkę,
Wreszcie ze stołu skradli srebrną tackę!...
Przyszłam do Kazia i mówię ze łzami:

(patetycznie)

— Dotąd nie było zdrajców między nami!
Każdy był wierny szlacheckiej zasadzie,
Która za pierwszy warunek nam kładzie
Poszanowanie rodzinnego gniazda,
Nad którem świeci Opatrzności gwiazda.
Więc ochraniano laufry i serwety,
Co dziś za chustki służyły, niestety,
Tu w naszym domu!... I zwalano błotem
Posadzki, które błyszczały się złotem,
Że zazdrościła niejedna sąsiadka!"
A on mi na to: „Suń się z gipsem, matka!"

(oburzona)

Tak!... Suń się z gipsem!... On mi to powiedział!

(coraz bardziej płaczliwie)

Mnie, matce swojej!... To też straszny przedział!
Pomiędzy nami wyrył się na wieki!
Taki syn musi matce być daleki,
Co nie szanuje szlacheckiego stanu,
Serwety, laufra, matki i dywanu!

(wybucha płaczem)

Takie kukułcze wcisło się pod strzechę!...
Szczęście, że w młodszych mam jeszcze pociechę
A wszak Bóg dał mi tego jeszcze czworo.

*

Zochna tak śmigła; dorośnie mnie skoro.
Mówią — urodę wzięła od swej matki.
Na szyk kobietę ma wszelkie zadatki:
Szeroka w biodrach, trochę przysadzista,
Jędrna i zdrowa, nawet nadto krwista.
Dziś już się mówi o niej, że dorodna,
Skarb to nad skarby, córka pierworodna!...
To też wszczepiłam w nią moje zasady,
Całe me życie dawałam przykłady
Cnót, poświęcenia i miłości dzieci,
Któremi Polka jako słońce świeci.
Toż podejrzenia mam nie małą racyę,
Że do małżeństwa ma już inklinacyę,
Czując ten pociąg co ja nieprzeparty.
A życie bierze wcale nie na żarty.
Bo gdy dostała od kuzynka swego
Do przeczytania książkę Żeromskiego,

Co wielki zachwyt wzbudzała ogółu,
Historya... zaraz... nie pomnę tytułu...
(szukając w myśli)
Tak się nazywa... tak... katechizmowo...
Ah, na języku mam właśnie to słowo...
Aa!... „Dzieje grzechu"!...
Komu by się chciało
O grzechu czytać grubą książkę całą!
Ja w katechizmie miałam coś trzy strony
Tylko o grzechu, a zaraz szalony
Ból głowy przeszłam, gdy to przeczytałam.
No już doprawdy, że ją podziwiałam,
Kiedy czytała dwa tomy rozprawy
O grzechach ludzkich! I nie dla zabawy,
Dla zbudowania, którem ludzie gardzą,
Widać czytała, przejęta tak bardzo,
Że raz spędziła nad książką noc całą.
A potem trzy dni w krzyżu ją bolało.
I ona nie tak po wierzchu się bawi,
Lecz wszystko do dna rozpatrzy, przetrawi.
Nieraz z kuzynem na klucz się zamyka
Na kilka godzin, mówi że praktyka
Tam się odbywa z tego, co zdobyła
Dzięki tej książce... Dobrej książki siła
Wszak cuda czyni!... Drogiemu stworzeniu
Na co przeszkadzać?... Zostawiam natchnieniu,
Spokojna idąc w me wygodne łoże...
Wszak z takich natchnień zrodzić się co może!

A młodsza od niej, Stefuchna milutka
Jest bardzo zdolna, mądra i filutka,
Brzydsza od Zosi bo już nazbyt tłusta...
Gorsze, że z Kaziem ma podobne gusta
Trudno uwierzyć doprawdy w te hece,
Że ta smarkata już urządza wiece!
Właśnie przedwczoraj znalazłam pod stołem
Odezwę, którą pisała z mozołem,
A ułożyła mądrze i wspaniale,
Że ja jej nawet nie rozumiem wcale.
No, nic dziwnego, świat idzie z pośpiechem,
We mnie nieuctwo było małym grzechem,
Więc naturalnem, że dziś już z latami
Ja się rozmijam trochę z pojęciami
Dzisiejszej młodzi... Oto ta przemowa,
W której rozumiem ledwie jakieś słowa:

(rozwija kartkę i czyta)

„Siostry me, obywatelki!
Oto nastał dziś dzień wielki
Ewolucyi, rewolucyi!...
Nasze dotąd wychowanie
Pełne błędów, problematów,
Istna fikcya, urąganie.
Więc przyszłości duch z za światów
Woła na nas: hej do czynu!
Zmieńmy brudny konglomerat!
Hegemonia dzieci, gminu,

Choć ustąpić temu nie rad
Rodzicielski, głupi ład,
My musimy zmienić świat!
Abstrykcyjnie, lecz konkretnie
Musim zabrać się do dzieła,
Utopijnie, ale świetnie,
Wizya jeszcze nie zginęłą.
W imię szału, w imię chuci
Całe życie się wywróci."

(patrzy z zachwytem po słuchających)

No co?... uczone, świetne, wspaniałe!...
Szkoda, że trochę niezrozumiałe...
A gorszem jeszcze — z niej nie będzie matka,
Bo nadto mądra, a nawet sensatka.
Co zawsze szpeci prawdziwą kobitę*
Miewa też myśli wprost nieprzyzwoite!...
Raz była u niej jakaś koza mała,
Przed którą Stefa głośno się zwierzała:
I miała przytem całkiem zwykłą minę,

(zgorszona)

Że pójdzie z czasem na... na medycynę!
Że praktykować będzie z studentami
I krajać nagie trupy lancetami!
Gdy wspomnę słowa tak bezwstydne one,
To daję słowo, trzęsę się i płonę!

*Autorka wie, że pisze się kobieta.

Tecia i Jania za to istne cuda!

(pokazując giestami)

O tycie stopki... łydki takie.. uda!...
Bogini greckiej. Przytem złote loki,
Które tak cenią te kochane sroki,
Że nieraz śpiące, przez ręce się leją,
A jeszcze proszą, żebym im koleją
Zwinęła włosy na noc w papiloty.
Już w mieście znają te kochane knoty,
Tak wychowane wzorowo i grzecznie,
Co już pracują potrochu społecznie,
Bo każdej wiosny i każdej jesieni,
Póki cokolwiek w przyrodzie zieleni,
Niemal co święto te złote dzieweczki
Biegają z puszką, sprzedają kwiateczki:
Na kursa wyższe, na szkołę ludową,
Na seminaryum, to na Albigową,
To na kolonie, ochronki, gruźlicę,
Wciąż przebiegają katuchny ulice
A powiadają o nich już szeroko,
Że tak umieją panom „sypać oko",
Że każdy rzuca im conajmniej szóstkę,

(z zadowoleniem)

No i buziaka bierze na przepustkę!

Więc, choć z starszymi mam pewne kłopoty,
Wynagradzają mi jednak pieszczoty
Wdzięk i uroda moich benjaminek,
Także Zosieńka i najstarszy synek.
Choć Kazio, Stefa, cieszę się nadzieją,
Zmienią się także, gdy się postarzeją,
A nawet wcześniej, gdy dojrzeją laty,
Wstąpią z pewnością w ślady mamy, taty.
Więc się nie dziwcie, wy co mnie widzicie,
Że dumna z siebie idę całe życie.
Kto tak wychował swoje liczne dziatki
Musi czuć w sobie ten majestat matki,
Co opromienia czoło jej wspaniale
I na społecznym stawia piedestale!

KONIEC.

18,- 58°/01